

**W IMIĘ
WIECZNEJ
PRZYJAŹNI**

NELE
NEUHAUS
**W IMIĘ
WIECZNEJ
PRZYJAŹNI**


Przełożył
Miłosz Urban



Tytuł oryginału
IN EWIGER FREUNDSCHAFT

Copyright © by Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin. Published in 2021
by Ullstein Verlag
Copyright © 2022 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt logotypu Gorzka Czekolada
Dorota Wątkowska

Projekt okładki i łamanie
Radosław Stępnik | 

Zdjęcia na okładce
Shutterstock

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach
i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

Książkę wydrukowano na papierze Lux Cream 80 g 1,6
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8265-065-5

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk
Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie
pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa,
przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz
praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz
książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz
wydawcom nadal publikować książki.

*Dla Marion, mojej cudownej redaktorki.
Dziękuję Ci za cudowną współpracę.*

Niniejsza książka jest powieścią, choć jak to z powieściami bywa, niektóre postaci mają swoje pierwowzory w rzeczywistości, a ja mogłam zaczerpnąć z ich życia ten czy inny szczegół biograficzny. Sytuacje, w których te postaci uczestniczą, są fikcyjne i zostały przeze mnie wymyślone. Wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, a także do zdarzeń, jest przypadkowe i niezamierzone.

SPIS POSTACI

WYDZIAŁ K11:

OLIVER VON BODENSTEIN, szef wydziału K11

PIA SANDER, wcześniej KIRCHHOFF, policjantka, wydział K11

dr NICOLA ENGEL, szefowa pionu kryminalnego komendy
policji w Hofheim

KAI OSTERMANN, policjant, wydział K11

KATHRIN FACHINGER, policjantka, wydział K11

CEM ALTUNAY, policjant, wydział K11

TARIK OMARI, policjant, wydział K11

CHRISTIAN KRÖGER, policjant, szef zespołu techników
kryminalistyki

prof. HENNING KIRCHHOFF, szef Instytutu Medycyny Sądowej
we Frankfurcie

dr FREDERICK LEMMER, medyk

RONNIE BÖHME, asystent sekcyjny

I INNI W KOLEJNOŚCI ALFABETYCZNEJ:

GRETA ALBRECHT, pasierbica Bodensteina

KAROLINE ALBRECHT, żona Bodensteina

WALDEMAR BÄR, gospodarz budynku
wydawnictwa Winterscheid

COSIMA VON BODENSTEIN, była żona Bodensteina

MARIE-LOUISE VON BODENSTEIN, jego szwagierka

QUENTIN VON BODENSTEIN, jego brat

SOPHIA VON BODENSTEIN, jego najmłodsza córka

JULIA BREMORA, redaktorka Henninga Kirchhoffa
w wydawnictwie Winterscheid

ANJA DELLAMURA, szefowa działu artystycznego
wydawnictwa Winterscheid

PAULA DOMSKI, dziennikarka kulturalna
i żona Alexandra Rotha

HELLMUTH ENGLISCH, uznany i nagradzany pisarz

STEFAN FINK, mąż Dorothei Winterscheid-Fink
oraz właściciel drukarni Fink

MARIA HAUSCHILD, agentka literacka Henninga Kirchhoffa

JOSEFIN LINTNER, właścicielka księgarni House of Books
w Centrum Men-Taunus

JOSEF MOOSBRUGGER, agent literacki Severina Veltena

ALEXANDER ROTH, redaktor prowadzący w wydawnictwie
Winterscheid

SEVERIN VELTEN, bestsellerowy autor

HEIKE WERSCH, była redaktor prowadząca
w wydawnictwie Winterscheid i redaktorka Severina Veltena

CARL WINTERSCHIED, szef wydawnictwa Winterscheid

DOROTHEA WINTERSCHIED-FINK, kuzynka Carla i kierowniczka
działu handlowego wydawnictwa Winterscheid

HENRI WINTERSCHIED, ojciec Dorothei i były szef
wydawnictwa Winterscheid

MARGARETHE WINTERSCHIED, jego żona i matka Dorothei

PROLOG

Île de Noirmoutier, 18 lipca 1983

O Boże, ależ jestem zakochana! Zakochana w tej cudownej wyspie! Jest dokładnie taka, jak opowiadał John – po prostu magiczna! I jej surowe piękno, którego nie dostrzega się na pierwszy rzut oka – płaski fragment lądu pod bezkresnym niebem, którego błękitu od sześciu dni nie skaziła żadna chmurka. Już samo światło tutaj jest wprost trudne do opisania. Nic dziwnego, że Noirmoutier nazywana jest l'Île de Lumière, wyspą światła. Kocham po prostu te białe domki z niebieskimi okiennicami i pomarańczowymi dachami, którym nadano piękne imiona, jak „Toi et moi”, „Stella Maris”, „Nid d'amour”, czy „Luciole”, wąskie uliczki z kwitnącymi malwami, woń pinii, od której w południowym żarze aż kręci się w głowie i – przede wszystkim – morze! Pewnie dziwnie to zabrzmie, ale ta wyspa porusza coś w głębi mojej duszy, zupełnie jakbym w jakimś innym życiu już tu kiedyś była, i marzę, by zostać tu na zawsze. Uwielbiam ogródki solne z połyskującymi kałużami solanki, z których pozyskuje się *fleur de sel*, sprzedawaną na każdym rogu ulicy.

A sam dom to czyste szaleństwo! Dwanaście pokoi i trzy tarasy. Z piętra rozciąga się widok na wydmy, białą plażę i morze! Na posesji znajduje się jeszcze maleńki domek, w którym mieszka gospodyni Finette z mężem. Oni dbają tu o wszystko. Mam wrażenie, że to cudowny sen, a ta rozwydrzona banda bogatych dzieciaków nie potrafi niczego docenić! Dla nich to coś normalnego. Jak słucham, gdzie też oni nie spędzali wakacji: Bahamy,

Sylt, Kalifornia, Majorka, Portugalia! A ja pierwszy raz w życiu jestem nad morzem! Nikomu o tym nie wspomniałam. Nie muszą wiedzieć.

Dzisiaj z Götzem, Stefanem i Marią pojechałam *citroënem mèhari* na wycieczkę do jedyne go lasu na wyspie, Bois de la Chaise. Jest tam plaża, na której stoją rzędy białych przebierałni jeszcze z dziewiętnastego wieku. Wyobrażałam sobie, jak dawniej eleganckie damy w letnich kapeluszach i długich sukniach zmieniały tam ubrania. Jest tu też sporo przecudnej urody willi z *belle époque*, które kryją się przy niewielkich, skalistych zatoczkach, a na długim, drewnianym moło stoją wędkarze i wpatrują się cierpliwie w szałwiki. Na koniec pojechaliśmy do hali targowej w głównym porcie Noirmoutier-en-l'Île, i jeśli wcześniej nie miałam pewności, tam ostatecznie się przekonałam, że trafiłam do raj u! Ale, jak w każdym prawdziwym raj u, i w tym można spotkać węże. Gdybym tylko wiedziała, jak paskudnie i egoistycznie będą się zachowywać, poczekałabym na Johna i dopiero razem z nim przyjechała. Zbyt pochopnie zgodziłam się na prośbę Götza i dałam mu słowo, i z każdym dniem coraz bardziej tego żałuję. Mimo że Mia dobrze gra swoją rolę, pozostali prędzej czy później muszą się zorientować w tym teatrze. W ogóle nie potrafię zrozumieć, po co zapraszał tu Heike, Alexa, Josi i Mię. Może też z powodu rodziców? Spędzają tu razem czwarte czy piąte wakacje, więc po trochu to już tradycja. Ale też myślę czasem, że Götz lubi poczucie władzy i w skrytości delectuje się wydawaniem poleceń i dręczeniem pozostałych, nawet jeśli temu zaprzecza. Obrzydliwość, jak dookoła niego skaczą i podkładają sobie nogi, żeby tylko zyskać jego uznanie. Dla niego to tylko gra, ale moim zdaniem bardzo niebezpieczna gra, bo nie rozumie, że to, co dla niego jest zabawne, oni traktują śmiertelnie poważnie. Pokręcona banda. Coraz częściej myślę, że trzymają się kurczowo czegoś, co już

nie istnieje. Jeszcze tylko trzy dni do przyjazdu Johna! Odliczam każdą godzinę...

PS Dzisiaj były świeże ostrygi, które kupiliśmy na targu. Chciałabym, żeby to lato trwało wiecznie. Mimo podłych węży.

Poniedziałek 3 września 2018

Od dziesięciu dni, czyli od chwili, kiedy zniszczyła nie tylko jego karierę, ale i całe jego życie, nie odpowiadała na mejle i nie odbierała telefonów. Uciekając przed falą oburzenia, schował się w swoim mieszkaniu; jak strachliwa myszka zaszył się w swojej norce, przed którą zebrali się dziennikarze, ekipy telewizyjne i zawiedzeni fani, którzy czyhali tylko, by go dopaść, ledwie wystawił czubek nosa za drzwi. Zgoda, popełnił wielki błąd. I zawiódł zaufanie. Ale przecież to ona na niego naciskała, to ona go w zasadzie zmusiła, a jego wina polegała na tym, że wbrew rozsądkowi uległ jej namowom, trochę z próżności, a trochę pewnie dlatego, że potrzebował pieniędzy. Zapewniała go, że nikt nie zauważy – bo kto by znał jakąś nieznaczącą książeczkę od dawna nieżyjącego chilijskiego autora? A teraz, kiedy bez ostrzeżenia rzuciła go na pożarcie opinii publicznej, ignorowała go, swojego najlepszego autora, swoje „dzieło”, jak go często nazywała. Długo użalał się nad sobą, ale w końcu jego strach ustąpił miejsca złości, potem przyszła wściekłość, aż w końcu zawiadła nim nienawiść tak potężna, że podobnej nie czuł nigdy dotąd. Był zrujnowany. Jego dobre imię skompromitowane. A najgorsze, że wciąż nie miał pojęcia, dlaczego mu to zrobiła. Ubiegłej nocy postanowił w końcu się z nią rozmówić i zażądać wyjaśnień. Dawniej pojechałby do niej pociągiem, bo skrycie napawał się swoją rozpoznawalnością i tylko udawał, że nie zauważa, jak ludzie chichoczą podekscytowani i odwracają głowy, żeby mu się przyjrzeć. W wywiadach chwalił się

skromnością i zapewniał, że nie lubi wzbudzać zainteresowania, ale tak naprawdę był niemal uzależniony od pełnych uwielbienia spojrzeń kobiet i ich nieśmiałych próśb o selfie albo autograf. Miał jednak dość rozumu, by unikać takich spotkań po tym, jak jego oszustwo zostało obnażone. Dziennikarze i fani zmęczeni się czekaniem, dzięki czemu mógł niezauważenie wymknąć się z mieszkania i wsiąść do samochodu. Pół godziny później stanął przed pomalowaną na czerwono kutą bramą. Spocily mu się dłonie, kiedy odczytał jej nazwisko na wypłowiałym szyldzie dzwonka, obok skrzynki pocztowej. Opuściła go odwaga, bo uświadomił sobie, że zaraz będzie musiał przeprowadzić rozmowę, którą od kilku dni do znudzenia powtarzał w swojej głowie. Jej dom skrywał się za krzakami róż, rododendronów i kilkunastoma paskudnymi mamutowcami. Przed domem znajdował się podwójny garaż z nowoczesną bramą zwróconą w stronę ulicy, chociaż główny budynek pochodził pewnie z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Okna z białymi szprosami i okiennicami o barwie wypłowiałej czerwieni, delikatny balkonik na środku na pierwszym piętrze i dwa wole oka na poddaszu. W gruncie rzeczy był to bardzo ładny dom, lecz na tle zadbanych willi w sąsiedztwie sprawiał wrażenie niekochanego i zaniedbanego; podobnie jak jego właścicielka, którą jeszcze do niedawna uważał za mieszkankę centrum dużego miasta. Ich rozmowy telefoniczne przeciągały się niejednokrotnie do późna w nocy, a on wyobrażał ją sobie w pięknej secesyjnej willi niedaleko parku Grüneburg we Frankfurcie, w której nieraz gościł. Jak to możliwe, że mimo dwunastu lat ścisłej współpracy tak mało o niej wiedział? Przez ten czas ani razu nie odwiedził jej w domu. Nic nie wiedział o niej ani o jej prywatnym życiu, za to ona znała wszystkie jego sekrety, jego strachy i marzenia, upodobania i słabości. To właśnie ona doceniła jego pierwszy manuskrypt, odrzucony wcześniej przez ponad trzydzieści wydawnictw. To ona go odkryła i uczyniła z niego autora wydawnictwa

Winterscheid. Dostał zaszczytu będącego udziałem niewielu wybrańców, najlepszych spośród najlepszych. Przez te wszystkie lata stała się osobą, z której zdaniem najbardziej się liczył, szczególnie po rozpadzie jego małżeństwa. Często dyskutowali o postaciach z jego książek, jakby mówili o ludziach z krwi i kości; razem ślęczeli nad jego tekstami i poprawiali pojedyncze zdania i sformułowania tak długo, aż oboje byli zadowoleni. To ona zachęcała go do dalszej pracy i dopingowała, kiedy nie mógł niczego napisać i chciał wszystko rzucić. I również ona dwanaście lat wcześniej zadzwoniła, żeby przekazać fantastyczną wiadomość, że jego debiutancka powieść *Czule* z miejsca podbiła listy bestsellerów. Pamiętał, jakby to było wczoraj: siedział przy kuchennym stole upstrzonym śladami po mokrych kubkach i przypaleń papierosami, tym samym, przy którym pisał *Czule*, i odczuwał mieszaninę niedowierzania i niezmiernego szczęścia.

Dla niego uznanie, z jakim w końcu spotkała się jego książka, było ważniejsze od liczby sprzedanych egzemplarzy. Wiedział, że tamtej rozmowy telefonicznej nigdy nie zapomni, mimo że w kolejnych latach dzwoniła do niego jeszcze dziesiątki razy, często z nawet lepszymi wiadomościami. Pierwsze miejsce na liście bestsellerów. Nagroda dla najlepszej książki. Nagroda imienia Büchnera. Prawa do ekranizacji. Sprzedaż licencji do dwudziestu czterech krajów. Zachwyty krytyków w prasie. Wygłosił ogromną liczbę odczytów; na początku głównie w niewielkich księgarniach, później w większych salach. Wywiady. Programy w telewizji. Na targach książki we Frankfurcie stoisko wydawnictwa zdobił olbrzymi plakat z jego podobizną. Awansował na gwiazdę krajowej sceny literackiej. Przez dziesięć lat napisał jeszcze siedem książek z lekkością, która pozwoliła mu wierzyć, że nigdy nie przestanie tworzyć. Jednak po *Na lewym brzegu rzeki* nagle wszystko się skończyło. W jego głowie i sercu niespodziewanie zapanowała pustka. Ogarniała go coraz większa rozpacz, kiedy miesiąc po miesiącu wpatrywał się w migający kursor na pustym

ekranie. Napisał dziesięć, może piętnaście strasznie nieporadnych wstępów, by w końcu uznać, że nie ma w sobie niczego, co mógłby opowiedzieć. Nie miał pojęcia, o czym mógłby napisać.

Początkowo wszyscy zachowywali się bardzo cierpliwie. Nikt na niego nie naciskał, bo przecież żaden poważny autor nie tworzy książek taśmowo. Wydawnictwo, podobnie jak wcześniej, przysyłało mu szampana na urodziny i święta i dalej zapraszano go na legendarne wieczory przy kominku w siedzibie firmy, a on podróżował po kraju i zarabiał, dając odczyty. A jednak, gdy przychodziła noc, nie mógł zasnąć. Miał wrażenie, że skończył się sen o życiu pisarza, a świadomość kończących się oszczędności i tego, jak szybko znika z list bestsellerów – ostatnio trafił nawet na *Czule* i *Orzeł czy reszka* w supermarkecie, w koszu z przecenionymi książkami – zmusiła go do konstatacji, że niedługo będzie musiał znaleźć sobie pracę, żeby zarobić na chleb. Nieomal przyplącił to atakiem paniki. Cóż za porażka! Cóż za poniżenie!

Dzięki właścicielce domu z czerwonymi okiennicami i mamutowcami w ogrodzie nie został do tego zmuszony, znalazła ona bowiem remedium na jego problem: wykopała skądś dawno zapomnianą powiastkę, a on stworzył z niej *Jednonogiego żurawia*. Na początku nie czuł się z tym dobrze, ale szybko zauważył, że powieść ma jego charakterystyczny styl, nawet jeśli inspirację zaczerpnął od kogoś innego. Książka ukazała się w marcu. Premierę miała na targach książki w Lipsku i z miejsca wskoczyła na pierwsze miejsce listy bestsellerów. Pokochali ją i krytycy, i czytelnicy, na konto wpłynęła reszta gwarantowanego honorarium, a jego przestały nękać ataki paniki. Mógł teraz odsapnąć, bo wydawało się, że zapewnił sobie kilka kolejnych lat wśród najpoczytniejszych autorów w kraju. Wydawnictwo nie kryło zadowolenia, redaktorka była szczęśliwa, a księgarnie, krytycy i fani nie posiadali się z radości. I wtedy, jak grom z jasnego nieba... to!

Zauważył jakiś ruch w oknie na piętrze. Czyli była w domu... kobieta, którą kiedyś podziwiał, ba, kochał wręcz, a teraz

z całego serca nienawidził. Zrobił głęboki wdech, zebrał się na odwagę i sięgnął do dzwonka. Żadnej reakcji. W rododendronach szalały dwa kosy. Od czasu do czasu ulicą przejeżdżał jakiś samochód. Z okolicznych ogrodów dobiegały pojedyncze głosy i wybuchy śmiechu. Ktoś rozpałił grill. Po drugiej stronie drogi jakiś człowiek wyprowadzał psa, ale nie zwracał na niego uwagi.

Drżąc, stał pod płotem, i przez chwilę nawet pomyślał, żeby odpuścić. Ale nie! Nie mógł teraz podkulić ogona i wrócić do siebie bez uzyskania odpowiedzi. Przecież tu chodziło o jego egzystencję, o jego dobre imię i wiarygodność! Obróciła jego życie w gruzy, więc chciał usłyszeć od niej słowa wyjaśnienia, dlaczego bez ostrzeżenia zdemaskowała go jako plagiatora i zniszczyła wszystko, co zbudowali razem. Trzęsły mu się kolana, kiedy stanął w miejscu, którego nie było widać z ulicy. Potem przelazł przez płot i zdecydowanym krokiem ruszył po poprzerastanym mchem trawniku w stronę domu.